

... archipelagi ...



Marcin Nowak Lubecki

Łza i morze

. . . a r c h i p e l a g i . . .

Marcin Nowak Lubecki

ŁZA I MORZE

w
ydawnic
a b
two

Spis treści

[Copyright](#)

[Motto](#)

[Łza i morze](#)

Wszystkie rozdziały dostępne w pełnej wersji książki.

Copyright © by Marcin Nowak MMXIV

Wydanie I

Warszawa

Chodzi o wyodrębnienie małych skrawków oraz ich ponowne scalenie w nowy komunikat.

Dla mnie bycie DJ-em to po prostu używanie języka.

DJ Spooky

Zabiegi o czyjeś względy wymagają zawsze pewnego poświęcenia i upodobnienia, zwłaszcza jeżeli się walczy o uznanie ze strony czystego ducha.

Josif Brodski *Sprawić przyjemność cieniowi*

Nie musisz umierać, zanim żyłeś.

Fragment piosenki *Life* zespołu Sly and the Family

Stone

Postaci i sytuacje opisane w tej książce są wytworem fantazji i mogą przypominać rzeczywiste, choć takie nie są.

*

Ostatecznie przekonały go wąsy barmana. Gdyby były choć ładnie przystrzyżone, pewnie zostałyby w barze hotelowym dłużej tego wieczoru, może nawet wróciłby tu następnego dnia i jeszcze kolejnego. Barman okazał się jednak nie tylko mało interesującym, milkliwym typem, ale też człowiekiem pozbawionym smaku, czego dowodem były te wąsy, które dzieliły jego twarz na dwie części, jak gruba kreska narysowana niewprawnie kredką.

Spojrzał na pusty kieliszek i dał znać, że chce jeszcze jedną kolejkę. Wypił, poczekał, aż alkohol zadomowi się w ciele, a potem postanowił, że pójdzie do pokoju i zacznie się pakować. Sięgnął do kieszeni po portfel; palce natknęły się na złożony we czworo papier. Ach, list, przypomniał sobie i westchnął głęboko. Barman spojrzał na niego i w milczeniu wyciągnął rękę po butelkę wódki.

– Nie, dziękuję – powiedział Pisarz. – Już dosyć na dziś.

Rzucił na kamienny blat parę monet, skinął głową barmanowi i wyszedł. Hotelowy korytarz był wąski,

ściany pokrywały tapety w kolorze musztardy, podłoga wysłana była purpurową wykładziną. Idąc, Pisarz myślał o liście, który przyszedł po południu, i o tym, że już czas wyjechać. List został przesłany przez sekretarza Związku Literatów Polskich, choć jego nadawcą był Giancarlo Vigorelli, prezes Stowarzyszenia Pisarzy Europejskich. „Drogi Prezesie – pisał Vigorelli – rośnie zainteresowanie sprawą polskich intelektualistów i sankcji, jakie ich wystąpienie spowodowało; proszę, by Pan, jako Prezes Związku Literatów Polskich, poinformował mnie bezzwłocznie o przebiegu tej sprawy, mam również nadzieję na Pana szybką i skuteczną interwencję w obronie naszych kolegów”.

Westchnął ze smutkiem i rezygnacją; skomplikowane sprawy zaczęły komplikować się jeszcze bardziej, a wszystko przez głupią akcję kilku niemądrych kawiarnianych politykierów, którzy chcieli zrobić mu osobiście na złość, zepsuć jego politykę kulturalną, pokrzyżować plany. I teraz jeszcze ten Vigorelli... Jak on nic nie rozumie, niepotrzebnie

pisał ten list, równie dobrze mógł zadzwonić do hotelu i porozmawiać. Wiedział przecież, że jest na kongresie w Rzymie, ale nie – on wolał oficjalną drogę, jakby cały ten głupi incydent był wart urządzania międzynarodowej hecy.

Podniósł wzrok i zauważył, że na ścianach korytarza zawieszono reprodukcje obrazów. Bardzo różnych – właściciel hotelu lub dekorator najwyraźniej nie mieli żadnego planu, który uzasadniałby wybór. Mijał reprodukcje włoskiego cinquecenta, jakieś klasycystyczne ramoty, kilka dzieł awangardowych. Prawdopodobnie hotelarzowi zależało na tym, żeby podkreślić artystyczny charakter miejsca, w końcu gościł delegatów na Kongres Literatów dla Pokoju z całego świata.

Kilka metrów przed nim otworzyły się drzwi i wyszedł zza nich jeden z uczestników kongresu; nie mógł przypomnieć sobie jego nazwiska ani pochodzenia. Widywał go w centrum kongresowym; miał wrażenie, że był Latynosem, ale równie dobrze mógł pochodzić z południa Europy. Mężczyzna

uśmiechnął się i pozdrowił go, a potem powiedział, że wybiera się na spacer.

– Szkoda nie skorzystać z tak pięknego wieczoru – wyjaśnił.

Pisarz pokiwał ze zrozumieniem głową. Oczywiście, że spacer, pomyślał. Do najbliższego burdelu.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie spłatać kole-dze figla i nie zatrzymać go w hotelu, pytając, co sądzi o dzisiejszym przemówieniu na sesji, jakie ma wrażenia po dyskusji, jak zapatruje się na sprawę roli literatury w krzewieniu pokoju między narodami i temu podobne. Mógłby przeciągać konwersację i obserwować rosnące zniecierpliwienie kolegi, a może nawet ostatecznie rezygnację. W końcu jednak dał sobie spokój, był nieco pijany i zmęczony, a także, prawdę powiedziawszy, miał już dosyć tego kongresu i wszystkich jego uczestników.

Życzył więc tylko mężczyźnie dobrej nocy i minąwszy go, wszedł do swojego pokoju. Musiał spakować walizkę, przespać się trochę i skoro świt

wymknąć z hotelu, nie zwracając niczyjej uwagi. Postanowił napisać krótki list do uczestników kongresu, który zostawi w recepcji, tłumaczący jego zniknięcie ważnymi względami rodzinnymi. Śniadanie zje na dworcu kolejowym, będzie miał trochę czasu. Potem wsiądzie do pociągu i pojedzie do Wenecji. Zostanie tam kilka dni, a może całą wieczność.

Oczywiście śmierć może człowieka spotkać wszędzie, ale czuł, że to powinno zdarzyć się właśnie tam. Nie zamierzał popełnić samobójstwa, choć nie wykluczał – w odpowiednich okolicznościach – również takiego rozwiązania. Po prostu z pewnych powodów uważał, że nadszedł właściwy moment.

Od dawna już miał świadomość, że śmierć jest blisko, a od jakiegoś czasu myślał o niej nawet z ulgą. Żeby tak wreszcie wiedzieć, kiedy to wszystko się skończy, przyszło mu do głowy pewnego dnia przy śniadaniu złożonym – zapamiętał to dokładnie – z kawy i jajek po wiedeńsku. Było to krótko przed wojną, mniej więcej w okolicach jego czterdziestych

urodzin. Wtedy też po raz pierwszy dotarło do niego, że w życiu nie chodzi o to, by rozwikłać jakieś sprawy i znaleźć odpowiedzi na różne pytania; gdyby taki był jego cel, śmierć byłaby największym i najokrutniejszym żartem Pana Boga.

Chyba w tym samym czasie zaczął myśleć o swoim nekrologu. Czasem widział go na wyobrażonych szpaltach gazet: pieczęć zatwierdzająca odejście do krainy pamięci. Gdyby ktoś pytał go o zdanie, to jego nekrolog powinien rozpocząć się od słów: „Był pisarzem”. Potem powinno być coś na temat tego, jak rozumiał tę rolę. On sam napisałby mniej więcej tak: „Być pisarzem to układać słowa w porządek, czyli tworzyć sens i piękno”. W następnych zdaniach umieściłby jakąś anegdotkę, która dodałaby tekstowi nieco lekkości, ale zarazem pokazywałaby, jak serio traktował swoją powinność wytwórcy piękna i sensu. Na przykład o tym, jak kiedyś podczas wywiadu na pytanie: „Nad czym pan teraz pracuje?”, odpowiedział: „Cały czas nad tym samym, drogi panie”.

Pomysł bardzo mu się spodobał, niestety, od chwili kiedy na niego wpadł, żaden z dziennikarzy, którzy przeprowadzali z nim rozmowy, nie zadał tego najbardziej klasycznego z klasycznych pytań. Pewnego dnia postanowił dłużej nie czekać i podczas najbliższego wywiadu sam poprosił o dopisanie tych dwóch zdań. Dziennikarz zbierał się już do wyjścia, wkładał płaszcz, ale zatrzymał się w pół drogi, słysząc jego prośbę.

– Przez całe moje życie zawodowe – powiedział – we wszystkich wywiadach, które przeprowadziłem, udało mi się uniknąć tego idiotycznego pytania.

– Przecież to drobiazg. – Pisarz wzruszył ramionami. – Tylko dwa zdania, nic wielkiego.

Dziennikarz oczywiście w końcu się zgodził; dlaczego miałby odmówić tej drobnej przysługi prezowskiemu Związkowi Literatów Polskich i posłowi na Sejm?

Jak widać, ciężko pracował na własny nekrolog i traktował siebie samego bardzo serio. Szczerze przyznawał – choć tylko przed sobą – że od jakiegoś czasu zmagać się musiał z pewnym kłopotem: prze-

stał słyszeć głos wzywający go do wypełniania pisarskiej powinności. Oczywiście czasy, których był świadkiem, mogłyby całkowicie tłumaczyć to nagłe zamilknięcie, ale on był przecież w szczególnej sytuacji. Często powtarzał, że obecny zamęt w dziedzinie ducha to tylko zaniedbanie w odrabianiu lekcji zadanych przez starych mistrzów, zalecał więc powrót do klasycyzmu w rozumieniu goethowskim, czyli do tego, co w kulturze zdrowe, silne i żywotne. Jednak coraz częściej zdarzało mu się myśleć, że żadni mistrzowie – ani starzy, ani młodszy – nie uchronią człowieka przed umieraniem jego ducha.

Zajął się pakowaniem walizki, raz po raz spoglądając na obrazek, który wisiał na ścianie między lustrem a drzwiami. Była to reprodukcja obrazu Leonarda, przedstawiającego świętego Hieronima na pustyni. To naprawdę dziwne, że powieszono go akurat w tym pokoju, pomyślał. Święty jest pokazany w chwili, kiedy odbywa pokutę, uderzając się kamieniem w wychudłą pierś i wznosząc pełne cierpienia oczy do nieba. Dzieje się to niedługo po

nawróceniu, po słynnej nocy, podczas której Hieronim doznał objawienia, porzucił studia nad literaturą pogańską i udał się na pustynię, by odpokutować grzechy. Przed nim siedzi lew, wierny przyjaciel, i przygląda się swojemu dobroczyńcy z rozwartą paszczą, jakby dziwił się temu, co widzi. Pisarz przypomniał sobie, że obraz, malowany na desce, nie został ukończony, Leonardo pozostawił go w fazie monochromatycznego modelunku, a jego dalsze dzieje spowite są tajemnicą. Zaginął w niejasnych okolicznościach, a potem został podzielony na dwie części, które odnaleziono i złożono dopiero w dziewiętnastym wieku. Fragment z twarzą Hieronima został wycięty z obrazu i przez lata służył pewnemu rzymskiemu szewcowi za siedzisko w taborecie.

Tak więc szewc latami siadał na twarzy świętego; rozbawiła go myśl o tym szczególnym sposobie obcowania ze świętością, pomyślał, że mógłby napisać na tej kanwie opowiadanie. Świętość mieszałaby się w nim z doczesnością, ciało z duchem, sztuka z rze-

miosłem. Zanotował to wszystko w swoim dzienniku, a potem wrócił do pakowania walizki.

Przyszło mu do głowy, że będąc w Wenecji, powinien odwiedzić kościół San Giorgio degli Schiavoni i obejrzeć cykl obrazów Carpaccia o świętym Hieronimie. Zaczął układać w głowie plany wycieczek i spacerów po tym mieście. Miał serdecznie dosyć Rzymu, kongresu i ludzi, których tu spotykał. Uważał, że najwyższy czas uciec, chciał udać się na swoją pustynię. Co dzień zasiadał za stołem okrytym zielonym pluszem, zabierał głos, wchodził w polemiki, przechodził do konkluzji, ale miał poczucie, że odgrywa przed wszystkimi komedię. Chyba zresztą całkiem udanie, uczestnicy przecież doceniali jego wkład w intelektualny wymiar kongresu. A jednak ta farsa bardzo go już męczyła i nie potrafił znaleźć w niej nawet odrobiny satysfakcji. Dawniej umiejętność tworzenia fikcji i wpływania na innych dawała mu poczucie siły i nadzieję, szczególnie w chwilach, gdy czuł się ich pozbawiony. Zauważył to już w dzieciństwie: kiedyś w swoim opowiadaniu

zamordował Śpiącą Królowę, doprowadzając starszą siostrę do rzesistych łez.

Pakowanie walizki zajęło mu więcej czasu, niż przewidywał. Kiedy wreszcie opróżnił szafy i szuflady, usiadł na łóżku, zastanawiając się, czy czegoś nie zostawił. W końcu machnął ręką; jakie to ma znaczenie, pomyślał, skoro Wenecja i tak ma być ostatnim przystankiem podróży. Włożył piżamę i umył zęby; zauważył, że woda ma dziwny smak. Zastanawiał się, czy zaśnie i czy ma wziąć pigułki na sen, które przepisał mu lekarz, czy też raczej napić się jeszcze wódki. Nagle przypomniał sobie, że powinien zadzwonić do hotelu, w którym zwykle zatrzymywał się w Wenecji, i upewnić się, czy znajdują dla niego miejsce. Westchnął, sięgnął po notatnik z adresami i zaczął szukać numeru telefonu. Właścicielkę hotelu znał jeszcze z lat młodości, kiedy prowadziła z ojcem pensjonat we Florencji. Zawsze miała dla niego przytulny kąt i zwykle dawała mu zniżkę. Zamówił rozmowę i wkrótce uzyskał połączenie.

– Znajdziemy dla pana jakiś miły pokoik – poinformował go wenecki recepcjonista. – Na szczęście sezon dopiero się rozpoczyna.

Położył się na łóżku i zapatrzył na świetliste paski, które przebiegały od okna przez sufit. Po co właściwie przyjeżdżał na ten kongres? Czy od razu wiedział, że ucieknie z Rzymu do Wenecji? Chyba nie potrafiłby odpowiedzieć na te pytania. Oczywiście było parę całkiem racjonalnych powodów, dla których należało udać się do Rzymu. Po pierwsze, został wyznaczony osobiście przez towarzysza Kliszkę do reprezentowania kraju. Po drugie, kilka tygodni wcześniej ukazał się włoski przekład jego książki, zamierzał więc wykorzystać swoją wizytę do jego promocji. Ponadto dwa dni po kongresie miał spotkać się z Albertem Moravią w ramach kontaktów postępowych pisarzy z obu stron żelaznej kurtyny. Była też sprawa tego nieszczęsnego memoriału polskich pisarzy, która niedawno wybuchła w kraju i od której chciał trzymać się jak najdalej, przeczekać ją, najlepiej za granicą. Pragnął również

odpocząć od rodziny: od pogrążającej się w dewocji żony i niewdzięcznych dzieci. No i jeszcze raz zobaczyć freski Michała Anioła. Trudno, pomyślał, zamykając oczy, nie spotka się już z Morawią, ale za to będzie miał dobre wytłumaczenie swojej nieobecności.

Rano wymknął się z hotelu i taksówką pojechał na dworzec kolejowy. Dwie godziny, które zostały mu do odjazdu, spędził w restauracji, jedząc śniadanie i rozmyślając, czy warto jeszcze pisać rozpoczęte niedawno opowiadanie. W końcu wsiadł do pociągu, zajął miejsce w pierwszym wagonie i rozłożył gazetę. Zatrzymał wzrok na informacji o tym, że już za cztery lata we Włoszech po raz pierwszy mają się odbyć mistrzostwa Europy w piłce nożnej. Spojrzał również na długoterminową prognozę pogody: kwiecień sześćdziesiątego czwartego ma być słoneczny, informował meteorolog, mieszkańcy Wenecji oraz turyści udający się w tamte strony nie będą mieli powodów do narzekań. Nie potrafił jednak skupić się na lekturze, ponieważ jego torba leżała na ziemi,

a on uważał, że nieuchronnie przynosi to pecha w sprawach finansowych. Na półce przeznaczonej na bagaże nie było już miejsca; po chwili namysłu postanowił zdjąć swoją walizkę i na jej miejsce wstawić torbę. Jeden z sąsiadów rzucił mu badawcze spojrzenie, na szczęście reszta pasażerów nie zwróciła na niego uwagi.

Pociąg ruszył punktualnie, ale zaraz za Rzymem lekko zwolnił. Kiedy konduktor sprawdzał bilety, zapytał go, dlaczego pociąg jedzie wolniej.

– Prawdę mówiąc, nie wiem – odpowiedział konduktor. – Może jakieś roboty na drodze, a może maszynista je drugie śniadanie.

Mężczyzna roześmiał się, oddając sprawdzony bilet, a on pokiwał głową i grzecznie odwzajemnił uśmiech.

– Niech się pan nie martwi, signor – dodał konduktor. – Z pewnością zaraz nadrobimy opóźnienie.

Przez chwilę Pisarz zastanawiał się, jak wygląda drugie śniadanie maszynisty; mogła to być na przykład kanapka z szynką parmeńską i sosem

musztardowym, którą zwykle przygotowywała mu żona na dłuższe trasy. Maszynista, jedząc ją, pomyślał, że jest bardzo smaczna – tak, jego żona robi naprawdę wspaniałe kanapki, znacznie lepsze od suchych pająd przygotowywanych przez kochankę. Cóż, jednak kochanka ma inne zalety i to dla nich właśnie widywali się tak często, jak tylko było to możliwe.

Maszynista nie przejmował się opóźnieniem, przecież nigdy nie jechał cały czas planowo, zdarzało mu się zwalniać i przyśpieszać, grunt, że na stacjach był zawsze zgodnie z rozkładem. Tak więc pociąg zwiększał opóźnienie i we Florencji wjechał na krzyżówkę torów i ulicy dziesięć minut później, niż powinien. Dokładnie w tym momencie nadjechała wielka ciężarówka, przewożąca potężne fragmenty metalowej konstrukcji na rozbudowę stadionu w Rzymie w związku ze zbliżającymi się futbolowymi mistrzostwami Europy. Kierowca w ostatniej chwili zauważył pędzący pociąg, próbował hamować, ale było już za późno, żeby uniknąć tragedii.

Rozpędzona lokomotywa uderzyła w kilkudziesięciotonową przeszkodę, a następnie wypadła z torów, ciągnąc za sobą cały skład. Wagony runęły z impetem na ziemię, na której w tym miejscu akurat wzrastały słoneczniki. Łatwo przewidzieć skutki takiej katastrofy dla pasażerów: roztrzaskane głowy, przecięte arterie, złamane kręgosłupy, dużo krwi, wiele ofiar. Jedną z nich był Pisarz, siedzący tuż za lokomotywą.

Następnego dnia polskie gazety na pierwszych stronach informowały o jego śmierci. W kolejnych wydaniach pojawiły się artykuły poświęcone jego twórczości, działalności publicznej, a także pewnym tajemniczym okolicznościom śmierci. Nie jest jasne na przykład, pisały gazety, dlaczego Tadeusz Sokołowski w ogóle jechał do Wenecji, był przecież polskim delegatem na kongres w Rzymie; organa śledcze na razie badają sprawę i nie udzielają żadnych wyjaśnień do czasu uzyskania sprawdzonych i wyczerpujących informacji od włoskich partnerów. To jednak nie wszystko, pisały gazety; zastanawia

też fakt, dlaczego pociąg znalazł się na skrzyżowaniu dziesięć minut po czasie – zdaniem odpowiednich służb włoskiej kolei „po prostu nie powinien tam wtedy być”. Jakby tego było mało, Pisarz wiół manuskrypt niedokończonej powieści, która miała nawiązywać do *Upadku* Camusa, a przecież on – i tu objawia się jakiś dziwny grymas historii, która lubi się powtarzać – również zginął w wypadku, mając w teczce manuskrypt niedokończonej powieści.

Tak Pisarz wyobrażał sobie swoją śmierć w katastrofie kolejowej na peryferiach Florencji. Na szczęście maszynista pociągu jadącego do Wenecji w odpowiedniej chwili odłożył kanapkę, pomyślał o kochance, która czekała na niego na końcu trasy, i przyśpieszył obroty maszyny. Dzięki temu kilka godzin później Pisarz wysiadł cały i zdrowy na dworcu Santa Lucia w Wenecji. Następnie złapał *vaporetto* płynące na Lido i pół godziny później dotarł do przystanku koło ogrodów. Po krótkim spacerze był na miejscu.

*

Meldując się w hotelu, zapytał, czy ma zapłacić z góry, ale recepcjonista nie chciał od niego pieniędzy.

– Jest pan naszym stałym gościem, zresztą signora Carla wspominała coś o zniżce, ale nie wiem jakiej. Najlepiej będzie, jeśli sam pan z nią porozmawia.

Podziękował i poszedł do pokoju. Odstawił bagaże, przemył twarz wodą i spojrzął w lustro. Przyszedł mu do głowy wiersz o niewidzialnym zegarze, który każdy otrzymuje w chwili narodzin; życie biegnie, zegar tyka, a każdy obrót wskazówek żłobi coraz głębsze bruzdy na twarzy człowieka.

Włożył świeżą koszulę i marynarkę; nie leżały już tak dobrze jak kiedyś, może powinien kupić nowy garnitur, o rozmiar większy. Zawsze kupował obszerne ubrania, był mężczyzną dużej postury i kiedyś jego sylwetka napawała go dumą. Niestety, od kilkunastu lat jego ciało stawało się coraz bardziej nieforemne, ciężkie i zwaliste.

Okropność, pomyślał i westchnął głęboko. Wyszedł z pokoju, minął recepcjonistę, z którym wy-

mienił uśmiechy, a następnie udał się w kierunku placu Świętego Marka. Parę razy drogę przecięły mu koty, na szczęście nie czarne, jak zauważył z ulgą. Podróż pociągiem dosyć go zmęczyła, a do tego na dworze zrobiło się chłodno, szybko zawrócił więc do hotelu.

Rozpakował się, chwilę pokręcił po pokoju, wyjrzał przez okno. W dole ciągnęła się brukowana uliczka szerokości dwóch, może trzech metrów. Spojrzał na budynek po drugiej stronie, za oknami toczyło się normalne życie: ktoś słuchał radia, jakaś kobieta przenosiła naczynia do kuchni, ktoś jadł kolację. Odniósł wrażenie, że gdyby wyciągnąć mocno rękę, można by dosięgnąć tego życia naprzeciwko. W pewnej chwili jakiś mężczyzna spojrzał na niego z głębi swojego mieszkania. Pisarz poczuł się głupio, jakby ten człowiek przyłapał go na czymś niewłaściwym, a przecież on tylko wyjrzał przez okno hotelowego pokoju. Mężczyzna miał jednak obojętny wyraz twarzy, podszedł do swojego okna i spokojnie zamknął drewniane okiennice. Widać przyzwyczajajo-

ny do wścibskiego wzroku gości hotelu, pomyślał Pisarz. Spojrzał jeszcze w bok – kilkanaście metrów dalej uliczka wychodziła na szeroki deptak, rozjaśniony latarniami, wystawami i światłami restauracji. Obok jego okna po ceglany murze opuszczała się blaszana rynna. Jeszcze kilkanaście lat temu mógłby bez problemu zjechać po niej na ulicę. Wycofał się do pokoju, myśląc, że musi wieczorami zamykać dobrze okna, miał przecież płytki sen, a życie na wsi odzwyczaiło go od nocnych dźwięków miasta. Zatrzasnął okiennice, umył zęby i poszedł do łóżka.

Spał niespokojnie, ale mimo to rano obudził się rześki. Wziął prysznic, a potem siedział chwilę w fotelu i notował w dzienniku. Kiedy skończył, przeczytał to, co napisał, zrobił parę poprawek i przekartkował zeszyt. Zdarzało się, że kiedy wracał do swoich zapisów robionych wcześniej, nie potrafił rozpoznać w nich siebie, jakby pisał je ktoś inny, kto jednak bardzo dobrze znał jego życie, myśli i uczucia. Wreszcie odłożył zeszyt i zszedł na śniadanie.

Pijąc kawę, zastanawiał się, co dziś będzie robić. Postanowił, że urządzi sobie spokojny, miły dzień, kto wie, może jeden z ostatnich: na początek pójdzie na spacer, potem obejrzy jeszcze raz *Burzę* Giorgionego w Akademii i zwiedzi swój ulubiony kościół, Santa Maria della Salute. Po południu zaplanował wólczęgę po Lido.

Schodząc, pomyślał, że powinien odebrać paszport z recepcji, być może będzie mu potrzebny.

– Dzień dobry, *dottore* – powitał go recepcjonista; włosy miał lśniące od pomady.

Nie mógł znaleźć dokumentu, poprosił więc o chwilę cierpliwości i zniknął na zapleczu. Pisarz nie znał tego chłopaka, widać zatrudniono go tutaj niedawno. Zresztą nieciekawa twarz: za wąskie usta, zbyt długa broda, pomyślał. Czekaając na jego powrót, uświadomił sobie, że jest mu duszno; zdjął marynarkę i rozpiął guzik koszuli pod szyją.

Przypomniawszy sobie, że powinien zadzwonić do Maryni. Chciał oszczędzić jej niepokoju, w razie gdyby postanowiła skontaktować się z nim w Rzy-

mie. Zaraz jednak poczuł zniechęcenie: musiałby wymyślić jakieś przekonujące kłamstwo, które wyjaśniłoby żonie powody jego ucieczki z Rzymu, a chwilowo nic takiego nie przychodziło mu do głowy.

Jego rozmyślania przerwał jakiś hałas przy drzwiach wejściowych. Do holu wtargnęło trzech młodych ludzi w kolorowych ubraniach. Jeden z nich, palący samodzielnie skręconego papierosa, zwrócił się po angielsku do Pisarza:

– Cześć, chcesz macha?

Pisarz uśmiechnął się blado i odwrócił głowę. Postanowił udawać, że nie rozumie, co chłopak mówi. Zresztą nie było to dalekie od prawdy, młody człowiek właściwie bełkotał, do tego z wyraźnym amerykańskim akcentem.

– Hej, człowieku, mówię do ciebie!

Poczuł strach i podniecenie: czego chce od niego ten długowłosy młodzieniec? Zerknął na niego nieśmiało z ukosa.

– Daj spokój, nie widzisz, że pan nie pali? – usłyszał inny głos.

Co działo się w głowie Pisarza i co czuł w tamtej chwili? Sam nie był tego do końca pewien. Udawał, że nic nie rozumie, próbował ignorować zaczepki, a jednocześnie ostrożnie i dyskretnie spoglądał w stronę chłopców. Być może bał się tych młodych dzikusów, może nie wiedział jak reagować na ich bezpośredni sposób zachowania, a może – kto to wie – przeczuwał to, co za chwilę miał zobaczyć. Tak czy inaczej, wzrok Pisarza spoczął na pięknym kilkunastoletnim chłopcu. Gdyby nie włosy koloru bursztynu, wyglądałby jak oprawca świętego Bartłomieja z obrazu Tiepola, przyszło mu do głowy. Jego serce zaczęło trzepotać w piersiach jak skrzydła przestraszonego ptaka, który usiłuje zerwać się do lotu.

W tym momencie zza drzwi wyłonił się recepcjonista i młodzi ludzie w jednej chwili zwrócili się w jego stronę.

– Cześć, kolego – zaczął mężczyzna w kolorowej koszuli, którą Pisarz ocenił jako zbyt kobiecą. – Chcemy cię prosić o pomoc; mamy tutaj jednego z braci, który nie ma gdzie spać. Widzisz, chodzi o to, że u nas mieszka już jakieś trzydzieści osób i dopóki ludzie z waszego magistratu nie znajdą nam większej chaty, trzeba gdzieś ulokować naszego kolegę. Dwie, trzy noce wystarczą.

Teraz, kiedy cała trójka była zajęta rozmową z recepcjonistą, mógł przyjrzeć się im uważniej. Mężczyzna w kobiecej koszuli był dużo starszy od towarzyszy, jego twarz, przypominającą z profilu dziób egzotycznego ptaka, żłobiły liczne zmarszczki, a włosy ledwo zakrywały postępującą łysinę. Właśnie te włosy zwróciły uwagę Pisarza: były długie jak u dwóch pozostałych, ale znacznie cieńsze i rzadsze. Powinien nosić fryzurę i ubranie zdecydowanie bardziej stosowne do swojego wieku, pomyślał.

– Czy panowie chcecie wynająć pokój? – zapytał uprzejmie recepcjonista.

Mężczyzna w kobiecej koszuli spojrział na swoich towarzyszy z porozumiewawczym uśmiechem.

– No nie, niezupełnie – odpowiedział. – Chcemy umieścić tutaj kolegę, ale nie możemy zapłacić, bo nie mamy pieniędzy, tak się przedstawia sprawa.

Recepcjonista przyglądał się im chwilę ze spokojem. Jest w tym spojrzeniu jakaś twardość, która zdradza zmaganie z surowym życiem, pomyślał Pisarz. Ten chłopak ma za sobą trudne chwile i zapewne niejedno już widział.

– Rozumiem – odezwał się recepcjonista. – W takim razie proponuję pójść prosto i potem skrócić w prawo, tam jest most, pod którym można umieścić kolegę całkowicie za darmo.

Pisarz uśmiechnął się. Mężczyzna w kobiecej koszuli spojrział na niego, a potem zwrócił się do recepcjonisty:

– Daj spokój, człowieku. Nie przyszło ci do głowy, że pomoc potrzebującemu może być ważniejsza niż zysk twojego szefa? Co ci szkodzi przenocować ko-

legę przez dwie noce? Przecież twój szacowny hotel od tego nie zbiednieje.

Recepcjonista podniósł wzrok znad papierów.

– Proszę stąd wyjść, w przeciwnym wypadku będę musiał wyrzucić szanownych panów na zbitą morde – powiedział wolno i wyraźnie.

Mężczyzna w kobiecej koszuli podniósł rękę w geście poddania.

– Okej, nie ma sprawy, przecież tylko pytaliśmy. – Nagle odwrócił się do Pisarza. – A może pan mógłby przenocować naszego kolegę?

Dwaj pozostali chłopcy także zwrócili ku niemu twarzą z uśmiechami, które nazwałby wyzywającymi.

– Tylko dwie noce – ciągnął z obmierzłym uśmiechem najstarszy z nich. – Kolega jest spokojny i ładny, spodobałby się panu.

Pisarz poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Spojrzał na recepcjonistę, sprawdzając jego reakcję.

– Daj spokój, ten pan nie tylko nie pali, ale też nie mówi – powiedział chłopiec o miodowych włosach.

Obdartus, który proponował wcześniej papierosa, wyciągnął zza ucha kwiatek i wręczył go Pisarzowi.

– Śpijcie dobrze w swoich wykrochmalonych burżuazyjnych pościelach – powiedział najstarszy mężczyzna, biorąc towarzyszy pod łokcie i odchodząc.

Po chwili już ich nie było, a w malutkim lobby zapadła cisza. Recepcjonista wrócił do swoich zajęć. Pisarz wychylił się, sprawdzając, czy uda mu się jeszcze dojrzeć młodych ludzi przez otwarte drzwi. Zobaczył, jak blondyn łapie za rękę jakąś dziewczynę i całuje ją w usta. Przez moment rozmawiali, a potem zaczęli głośno się śmiać. Może mówią o mnie, pomyślał. Na pewno śmieją się z tego starego dziwnego faceta, którego zatkało i który nie potrafił wykrztusić z siebie ani słowa, ani me, ani be...

Recepcjonista najwyraźniej zauważył, że Pisarz wypatruje jeszcze ludzi, którzy przed chwilą zrobili tu tyle zamieszania.

– Łobuzy – skomentował z pogardą. – Niestety, coraz więcej tu takich przyjeżdża.

– To chyba nie byli turyści.

– Może artyści – powiedział recepcjonista, odrywając wzrok od papierów. – Wie pan, *dottore*, w dzisiejszych czasach trudno odróżnić artystę od łobuza.

Mógłby poczuć się dotknięty tą uwagą, ale w gruncie rzeczy zgadzał się z obserwacją chłopaka.

– A co z moim paszportem? – zapytał.

Recepcjonista przechylił głowę i rozłożył ręce.

– Niestety, nie mogę go znaleźć – powiedział. – Myślę, że signora Carla go zabrała w celu dokonania wpisu do księgi gości. Do wieczora z pewnością dostanie go pan z powrotem.

Trwał tak przez chwilę w milczeniu, spoglądając na gościa z przymilnym uśmiechem.

– Najmocniej przepraszam za kłopot – dodał, nie zmieniając pozycji.

– Nic nie szkodzi, proszę przekazać to signorze Carli – odparł Pisarz, wręczając mu kwiatek, który trzymał w ręce.

Mówi się czasem, że starość to powolne oddalanie się w sferę ducha. Pisarz był odmiennego zdania: starość polega na tym, że z każdą chwilą coraz bardziej zajmuje człowieka fizjologia. W dzieciństwie ciało jest przezroczystym naczyniem, dzięki któremu można napęłniać chwile radością. Starzenie się ma początek wtedy, kiedy po raz pierwszy zauważamy, że to naczynie zaczyna pękać.

Kiedy sięgał pamięcią wstecz, dochodził do wniosku, że w jego wypadku zdarzyło się to bardzo wcześnie, gdy miał zaledwie kilka lat. Było to tutaj, na plaży Lido, po której teraz spacerował. Mieszkali w Hotelu Kąpielowym, był kolejny gorący dzień, mama zarządziła wyjście na plażę. Mocował się z Jaśkiem, swoim dalekim krewnym i jedynym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miał. Jak zwykle przegrał, ale to go wcale nie martwiło, ponieważ wiedział, że w przyjaźni bycie słabszym często oznaczało przywilej bycia pod opieką, a bycie mocniejszym – obowiązek opiekowania się. Tak w każdym

razie było z nim i z Jaśkiem i obaj czuli się z tym dobrze.

Uwolnwszy się z uścisku przyjaciela, usiadł na piasku, żeby złapać oddech, który nagle stał się świszczący i docierał płycej niż zwykle, tylko nieco poniżej krtani. Zerwał się i zaczął iść przed siebie, jakby chciał uciec od tego dziwnego zjawiska, które raptem opanowało ciało. Jego niepokój brał się nie tylko z tego, że nie potrafił złapać tchu, ale też z tego, że już wcześniej dwa razy zdarzyło mu się coś podobnego. Nie pamiętał dokładnie, co wtedy czuł poza paniką, być może był to pierwszy raz, kiedy śmierć zajrzała mu w oczy. Janek, myśląc chyba, że przyjaciel obraził się z powodu przegranej, podbiegł do niego, zaczął go przeproszać i ciągnąć do następnej zabawy, ale on odmówił.

Stał w wodzie i czekał. Miał nadzieję, że tak jak poprzednio powietrze w końcu przebije się do jego płuc i że uda mu się złapać głębszy oddech. Zauważył, że niedaleko siedzi starszy mężczyzna w białym garniturze i kapeluszu. Był to jeden z gości

hotelu, znany pisarz, jak mówiła mama, którego często spotykali w Wenecji i na plaży. Mężczyzna patrzył na niego, uśmiechał się, chyba nawet machał dyskretnie. On jednak odwrócił się, próbując ukryć przed nim i wszystkimi innymi, że dzieje się z nim coś złego. Starał się głęboko oddychać i uspokoić, patrząc na fale, które, zupełnie obojętne wobec tego, co mu się przytrafiło, leniwie obejmowały jego nogi. Po chwili poczuł się lepiej, minutę lub dwie brodził jeszcze w wodzie, a potem odwrócił się, żeby sprawdzić, co się dzieje na plaży. Zachciało mu się śmiać na widok starego pisarza, który zastygł w dziwnej pozie, jakby próbował wstać z leżaka, ale nie mógł poradzić sobie z niewidzialną siecią, która pochwyciła go w tej pozycji i nie pozwalała się ruszyć. Nieco bliżej Janek spoglądał na niego, osłaniając oczy jedną dłonią, a drugą do niego machając.

– Tadziu! – usłyszał wołanie mamy. – Tadziu, chodź tu do nas.

Nie pamięta, co działo się jeszcze tego dnia. Pamięta za to, że nazajutrz w pośpiechu opuścili Wenecję. Kobiety w drodze na stację kolejową wyjaśniły dzieciom, że w mieście wybuchła zaraza. Dwa dni później, podczas podróży pociągiem, usłyszał, jak matka czyta guwernantce notatkę prasową o śmierci znanego pisarza, który został znaleziony martwy na Lido. A więc wtedy, będąc na plaży z rodziną, prawdopodobnie widział starego pisarza tuż przed śmiercią, a może nawet w chwili, kiedy umierał.

W Paryżu wyznał bliskim, że miewa czasem problem ze złapaniem tchu.

– Astma – orzekł lekarz, do którego udali się dwa dni później. – Możemy próbować leczenia, niestety, nie zawsze jest skuteczne, ale na pocieszenie powiem, że czasem sama przechodzi.

Pisarz miał wtedy kilka lat i razem z rodziną odbywał wycieczkę po Europie. W gruncie rzeczy nie była to prawdziwa wycieczka; parę miesięcy wcześniej w Polsce, na terenach, na których miesz-

kali, wybuchła rewolucja i ojciec wyekspediował ich w podróż po Europie, a sam poszedł walczyć za wolność ojczyzny. Zresztą zawsze był zajęty jakimiś ważnymi sprawami narodowymi, w dzieciństwie rzadko go widywał; wychowywał się głównie wśród kobiet. Nie rozumiał, dlaczego ojca nie ma przy nim; dla takiego dziecka Polska była wtedy jak bliiski krewny, który dawno umarł, a mimo to pamięć o nim jest ważniejsza od ojcowsko-synowskiej więzi. A on żył przecież, tu i teraz.

Na kilka miesięcy zatrzymali się u rodziny w Paryżu. Tutejszy klimat służył mu, ataki astmy ustały.

„*Mon cher Jeansiek*” – mówił do Jaśka, śmiejąc się, kiedy biegali po paryskich placach. „*Mon cher Tadeo*” – odpowiadał Jasiak. Czasem wydawało mu się, że siostry były zazdrosne o ich przyjaźń, pamięta, że często okazywały nadmierne zainteresowanie Jaśkowi, jego zaś całkowicie ignorowały.

Późną wiosną 1906 roku mama dostała list od ojca, w którym pisał, że mogą wracać do domu.

Dwór zastali ciemny i brudny, służba uciekła, kradnąc, co się dało, ojciec był ponury, pachniał lasem i wódką. Przez parę miesięcy matka organizowała na nowo życie domu, ale jego prawie to nie obchodziło; napisał swój pierwszy wiersz, o małej rybce i wielkim morzu, a do tego miał przy sobie przyjaciela, z którym spędzał wszystkie wolne chwile.

Mon cher Jeansiek, ciekawe, jak wyglądałbyś dzisiaj, pomyślał Pisarz, schylając się po kamyk. Rzucił go na wodę, starając się puścić kaczkę, jak czasem robili to z przyjacielem, ale kamyk odbił się raz od tafli i zatonął.

Spróbował jeszcze raz i poczuł, że to zajęcie bardzo go zmęczyło. Otarł pot z czoła, usiadł na piasku. Starzyzna, pomyślał z rezygnacją, ja to już sama starzyzna. Tego właśnie słowa od kilku lat używał do określenia swojego ciała i ogólnie kondycji, w jakiej się znajdował. Właściwie było to powiedzenie, które wymyśliła jego żona i które razem z wieloma innymi powiedzeniami tworzyło rodzaj osobnego słownika w ich domu. „My to już starzyzna” – mówili

często z żoną, patrząc na wnuki bawiące się w ogrodzie i uśmiechając się do siebie z wyrozumiałością.

Innym powiedzeniem było: „Proszę spytać Karą”, wymyśliła je w dzieciństwie ich córka. Kara była klaczą, która przez długie lata ciągała w ich gospodarstwie wozy, ale dawała się też dosiadać parobkom i dzieciom. Lubiła, kiedy gładziło się jej sierść i mówiło do niej, kręciła wtedy łbem, prychała i głośno rżała. „Proszę spytać Karą” odnosiło się więc do wszystkich skomplikowanych i nierozstrzygalnych problemów, które zasługiwały tylko na końskie rzenie.

„Sprawy z bukowego drzewa” z kolei wprowadził do ich słownika wnuczek Karolek; z grubsza rzecz biorąc, dotyczyło spraw niejasnych lub tajemniczych, choć tak naprawdę znaczenie kształtowało się w zależności od kontekstu. Na przykład na pytanie: „Gdzie idziesz?”, można było odpowiedzieć: „Mam sprawę z bukowego drzewa”, lub też kiedy chciało się opisać erotyczną relację dwóch osób, można było powiedzieć, że łączą je „sprawy z bukowego drze-

wa”; można też było użyć sformułowania: „I teraz dochodzimy do sprawy z bukowego drzewa”, mając na myśli jakieś kluczowe zagadnienie.

Pisarz myślał o tych wszystkich sprawach z bukowego drzewa, spacerując po plaży Lido. Kiedy zorientował się, że zaczyna się ściemniać, ruszył w kierunku *stazione*. Po krótkim oczekiwaniu złapał *vaporretto* i wrócił do miasta. Wszedł do restauracji, gdzie zjadł pizzę, ale nie poczuł się wcale syty, zamówił więc jeszcze rybę. Jedzenie nie było tanie, jednak ryba bardzo mu smakowała, była warta swojej ceny. Po wyjściu z restauracji włóczył się jeszcze przez chwilę po ciasnych uliczkach, pełnych wolno sunących przed siebie ludzi, ale czuł już narastające zmęczenie. Kilka razy ktoś go potrącił, do tego nie mógł pozbyć się niepokojącego uczucia ciężaru w piersiach, postanowił więc wracać.

Zbliżając się do hotelu, zauważył, że naprzeciwko niego znajduje się *trattoria*. Ciekawe, jak tu gotują, pomyślał; właściwie mógł w tej restauracji zjeść dzisiejszą kolację. Przez otwarte na oścież drzwi do-

strzegł ciemnowłosego chłopca, który krzątał się między stołami. Zwolnił kroku, przyglądając się kelnerowi, a wtedy ich spojrzenia się skrzyżowały. Po krótkiej chwili w oczach chłopca pojawiło się coś na kształt przyzwolenia. Doskonale wiedział, co to znaczy, widział takie spojrzenia już wiele razy. Poczuł ciepło bijące z trzewi, ale spuścił wzrok, odkładając wszystko, co mogło się wydarzyć, na później. Skierował się do drzwi hotelowych.

Recepcjonista rozpromienił się na jego widok i wręczył mu paszport.

– Signora Carla, tak jak myślałem – wyjaśnił.

Wkładając paszport do wewnętrznej kieszeni marynarki, Pisarz uświadomił sobie, że nie ma portfela. Musiał go zgubić, a może ktoś okradł go podczas spaceru. To okropne, pomyślał. Wszystko przez tę torbę w pociągu.

Następnego dnia rano schodził na śniadanie przygnębiony. Źle spał, obudził się z panicznym strachem, że wszystko sprzysięgło się przeciwko nie-

mu: jego słabnące ciało, żona, która nie rozumiała go i stawiała się bardziej ciężarem niż podporą, trzydziestu czterech złośliwych głupców z Warszawy, ten naiwny cymbał Vigorelli. Muzy chyba także go opuściły, bo nie potrafił nic napisać, a co więcej, zupełnie nie miał na to ochoty i jeśli sięgał po ołówek i notes, to tylko z poczucia pisarskiego obowiązku. A teraz, jakby tego wszystkiego było mało, jeszcze ten portfel – to okropne, ach, to okropne.

Nie mógł sobie przypomnieć, czy zabrał portfel z restauracji, pamiętał tylko, że kładł go na stole. Chyba jednak coś niedobrego działo się z jego głową – w jego świecie po prostu nie zdarzały się takie rzeczy. Zwykle pamiętał o zabezpieczeniu kominka przed nocą, odkładaniu rzeczy na miejsce, terminach spotkań, życzeniach urodzinowych i tym podobnych sprawach z bukowego drzewa. Nigdy nie przypominał roztrzepanego artysty, który nie potrafi radzić sobie ze światem materialnym. Aż tu nagle taka dziwna sytuacja, która wprawiała go w bardzo ponury nastrój.

Do tego musiał zastanowić się, co powinien zrobić. Poza paszportem, który szczęśliwym zbiegiem okoliczności został w hotelu, razem z portfelem zniknęły inne jego dokumenty oraz część pieniędzy. Na szczęście w walizce zostawił dość lirów, żeby zapłacić za hotel. Nie chciał zawiadamić policji, ponieważ wolał uniknąć pytań o to, co robi w Wenecji, zresztą nie miał nadziei, że uda mu się odzyskać zgubę. Pomyślał, że powinien zadzwonić do Maryni i opowiedzieć jej o tej przykrej przygodzie, ale po chwili porzucił tę myśl; nie chciał tłumaczyć się, dlaczego wyjechał z Rzymu.

Idąc na śniadanie, natknął się na Carłę, właścicielkę pensjonatu. Uściskali się serdecznie na powitanie; Pisarz zaproponował, żeby z nim zjadła albo przynajmniej wypła kawę. Zaczęła wypytywać, co u niego słyhać, opowiedział więc o portfelu.

– Może go zostawiłem w restauracji, a może mi go ukradli... – mówił. – Sam nie wiem, nie zdarzają mi się takie rzeczy.

– To bardzo przykre, ale nie przejmuj się – powiedziała signora Carla. – Po prostu trzeba iść z tym na policję.

– Nie ma sensu – odpowiedział natychmiast. – Przecież i tak nie znajdą portfela, a zresztą nie chcę robić wokół tego szumu.

Spojrzała na niego badawczo, ale tylko wzruszyła ramionami.

– No cóż – powiedziała po chwili. – Na pewno masz swoje powody, żeby unikać wizyty na posterunku. Nie moja sprawa. Mogę ci jakoś pomóc?

– Chyba nie bardzo – odparł. – Na szczęście coś mi jeszcze zostało, postaram się też wyciągnąć jakieś pieniądze od włoskiego wydawcy, żeby zapłacić za hotel.

– Nie przejmuj się. – Signora Carla machnęła ręką. – Znamy się przecież od lat, przyślesz mi pieniądze po powrocie do Warszawy.

Przełknęli w milczeniu łyk kawy.

– Już wiem – zaczęła ponownie. – Pożyczę ci tymczasem parę groszy, co ty na to?

– To bardzo miło, że tak się o mnie troszczysz – uśmiechnął się grzecznie – ale na razie nie ma potrzeby, jakoś dam sobie radę.

– Jak chcesz. W każdym razie bardzo mi przykro, że twoja wizyta w Wenecji rozpoczęła się tak fatalnie.

Przez chwilę spoglądała na niego, potem chwyciła go za rękę.

– Mimo wszystko to wspaniale, że znów nas odwiedziłeś. Byłeś już na Lido?

Potwierdził skinieniem głowy, uśmiechając się przepraszająco.

– O, nieładnie, jak mogłeś nie poczekać z tym na mnie?! – powiedziała. – Wobec tego jesteś mi winien spacer, wszystko jedno gdzie: na Lido, w ogrodach lub gdziekolwiek indziej.

Wyszedł z pensjonatu krótko po dziesiątej. Trattoria była już otwarta, ale w środku nie było przystojnego kelnera. Słońce świeciło dyskretnie, zabarwiając kontury chmur na różowo. Teraz nie potrafił się tym jednak cieszyć, a przecież normalnie taki wi-

dok napełniłby jego serce radością. Nieustannie sprawdzał, czy pieniądze są na miejscu. Kiedy wychodził z baru, zauważył, że znów oddycha mu się nieco ciężiej.

Poszedł do trattorii, w której poprzedniego dnia jadł kolację.

– Nic nie wiem o żadnym portfelu – powiedział nagabnięty kelner – ale zapytam jeszcze właściciela.

Zniknął na zapleczu, a po chwili wrócił z lekkim uśmiechem. Pisarz nie był w stanie odgadnąć, czy to dobry, czy zły znak.

– I co?

– Niestety, proszę pana – odpowiedział kelner. – Nikt nie widział żadnego portfela, przykro mi.

Wyszedł na ulicę, zastanawiając się, co powinien zrobić. Mógł zadzwonić do rodziny albo znajomych w Rzymie, ale nie uśmiechało mu się tłumaczenie, dlaczego jest w Wenecji. Postanowił najpierw spróbować z wydawcą, choć wielkich nadziei nie miał – wszystkie rozliczenia walutowe z tytułu przekładów prowadziło wydawnictwo krajowe pod

czujnym okiem władzy. To okropne, pomyślał, chciałem pożegnać się z wielkimi mistrzami, a muszę biegać za pieniędzmi.

Wszedł do baru z automatem telefonicznym i zadzwonił na informację, żeby ustalić numer swojego wydawcy w Rzymie. Kiedy zapisywał go na dłoni, zauważył, że stanęła za nim jakaś kobieta, która dawała mu do zrozumienia, że również chce skorzystać z telefonu.

– Halo – powiedział do słuchawki, kiedy udało mu się uzyskać połączenie. – Halo, chciałem porozmawiać z kimś w sprawie zaliczki za tłumaczenie.

Przełączono go pod inny numer, po chwili usłyszał męski głos. Przedstawił się, wyjaśnił, w jakiej znalazł się sytuacji, i zapytał, czy możliwe jest przesłanie pieniędzy lub chociażby ich części do Wenecji.

– Bardzo słabo pana słyszę – odezwał się głos w słuchawce. – Proszę głośniej.

Rozejrzał się; za jego plecami uformowała się już kilkuosobowa kolejka, stojąca na jej początku kobieta stuknęła znacząco w zegarek.

– Okradziono mnie! – krzyknął do telefonu. – Czy możecie przesłać mi pieniądze do Wenecji?!

– Nic nie rozumiem – odpowiedział głos. – To pan jest z Warszawy czy z Wenecji?

– Tłumaczę panu: jestem polskim pisarzem, ale przebywam w Wenecji. Czy możecie przesłać mi część honorarium na adres hotelu?

– Gdzie? Proszę powtórzyć, nie słyszę! – krzyczał głos z drugiej strony.

– Hotel San Sebastian! Proszę przesłać pieniądze do hotelu San Sebastian!

– Proszę pana – kobieta postukała go palcem w plecy – inni też chcą zadzwonić.

– Zaraz, chwileczkę! – krzyczał głos w słuchawce.
– Ustalmy coś wreszcie: jest pan w Warszawie, w Wenecji czy w San Sebastian?

– W jakim San Sebastian?! Jestem w Wenecji, hotel San Sebastian!

– Proszę pana – warknęła kobieta z tyłu. – Czy pan udziela lekcji geografii przez telefon? Tutaj ludzie chcą zadzwonić!

– Już rozumiem – powiedział głos w słuchawce. – Wenecja, oczywiście, słabo pana słyszałem. Proszę tylko powiedzieć, czy chodzi o hotel Wenecja w Warszawie, czy hotel Wenecja w San Sebastian?

Zrezygnowany odwiesił słuchawkę. Bez słowa minął kobietę, która kręciła głową z dezaprobatą. Doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jak wyśle do wydawnictwa telegram. Powinien również zadzwonić do swojego tłumacza – może w ogóle powinien od tego zacząć.

Wszystko jedno, pomyślał na koniec i postanowił, że wypije kawę; czuł, że należy mu się chwila odpoczynku. Wszedł do ładnej i niezatłoczonej kawiarni, w której podłoga wyłożona była kostkami brukowymi. Siadł przy stoliku i spojrzął przez szybę – słońce świeciło jasnym, prawie żółtym światłem, turyści śpieszyli się do kolejnych atrakcji z przewodnika, a jemu przyszło do głowy, że być może kiedyś jedną

z nich będzie jego grób. Jednak czy ktokolwiek będzie wiedział, kim był? On, jakiś polski pisarz o dziwnym nazwisku? Choć z drugiej strony, kto wie, może włoskie wydanie jego książki spodoba się, może jego szkice okażą się łatwiejsze do przyjęcia przez europejskich czytelników niż powieści i wiersze. W głębi duszy jednak nie miał na to wielkich nadziei, do tej pory tłumaczenia jego książek przechodziły bez echa, poza kilkoma komplementami zaprzyjaźnionych krytyków w specjalistycznej prasie. Jakże ciężko trzeba pracować na własny nagrobek, pomyślał i westchnął głęboko.

Kelner postawił przed nim filiżankę kawy i położył obok rachunek. W tej samej chwili przez otwarte skrzydło drzwi do kawiarni wleciał gołąb. Usiadł na kamiennej posadzce, zaczął spacerować między stolikami i nagle, nie wiedzieć czemu, zerwał się, wystraszony. Pisarz rozejrzał się i zobaczył kota przyczajonego przy wejściu. Gołąb latał wkoło jak oszalały, potem śmignął nad jego stolikiem i uderzył w szybę. Kiedy oszołomiony leżał na po-

sadzce, kot wyprężył grzbiet. Para amerykańskich turystów i jakaś samotna pani zerwali się z krzeseł, zaciekawieni. Ptak pozbierał się i z godnością pomaszerował do drzwi, jakby udając, że nic się nie stało.

Pisarz przyglądał się tej scenie, ciekaw, co wydarzy się dalej. Gołąb obrócił jeszcze parę razy głową i nagle wzbił się w powietrze; kot przez chwilę patrzył za nim, a potem poszedł w swoją stronę.

Wymienił uśmiechy z Amerykanami i kobietą, po czym wrócił do swojej kawy.

– Pamiętacie piosenkę *Il mio mondo* naszego ukochanego Umberta Bindiego? – mówił spiker w radiu. – Mam dla was wiadomość: ten wspaniały utwór został nagrany na nowo z angielskim tekstem przez Cillę Black i święci triumfy na Wyspach Brytyjskich! Tak więc przed wami Cilla Black, ciekawe, która wersja spodoba się wam bardziej.

Pisarz pomyślał, że radio we Włoszech różni się bardzo od radia w Polsce. W jego kraju nikt nie zwróciłby się do słuchaczy w tak poufały sposób, w audycjach było też zdecydowanie mniej hałasu.

Pojawiała się za to dobra muzyka – przypomniał sobie, jak krótko przed wyjazdem do Włoch słuchał ze wzruszeniem *Parsifala* Wagnera, rzecz tutaj nie do pomyślenia. Jego zdaniem uprzejme formy w kontakcie ze słuchaczem, słuchowiska, reportaże oraz niezła muzyka, które można było usłyszeć w polskim radiu, nie najgorzej świadczyły o wysiłku, jaki władze państwa wkładały w ogólny rozwój kulturalny narodu.

Przyszło mu do głowy, że kupi prezent dla towarzysza Kliszki, jak tylko dostanie pieniądze od wydawcy. Nic wielkiego, jakiś drobiazg, on na pewno to doceni i zapamięta. Szczerze mówiąc, nie widział nic złego w tym, że chciał i potrafił zabiegać o sympatię wpływowych towarzyszy. Dzięki tej umiejętności był szanowanym obywatelem, prezesem Związku Literatów Polskich i parlamentarzystą. Niektórzy uważali, że chodziło mu tylko o stanowiska, ale to nie była prawda, w każdym razie nie cała. Byłby jednak hipokrytą, utrzymując, że zaszczyty nie miały dla niego znaczenia. Ale gdyby nie

te stanowiska, czy mógłby tak aktywnie uczestniczyć w życiu narodu i kształtować jego rzeczywistość? Czy mógłby publikować swoje książki i docierać do tylu ludzi z pięknem? Czy mógłby skutecznie uprawiać swoją politykę kulturalną: ratować ducha polskiej kultury przed tym, co w głębi duszy uważał za wschodnią swołocz? Czy mógłby realizować plan utrzymania więzi między wschodnią a zachodnią częścią europejskiej kultury? Czasem wyobrażał sobie siebie jako tytana trzymającego na łańcuchach dwa parowozy, które odjeżdżają w przeciwne strony, ale czy ktoś poza nim dostrzegał jego przeogromny wysiłek łączenia tych rozpadających się półkul kultury? Czy mógł liczyć na pochwałę albo choćby zrozumienie swojej pracy? Bardzo w to wątpił.

Dlaczego w ogóle musi rozważać podobne problemy? Czy ktoś, kto zwiedza Wenecję, ma pretensje do Tintoretta, że namalował *Raj* na zamówienie dożów i że umieszczał swoich mecenasów na płótnach?

Wypił łyk kawy i uznał, że musi ją dosłodzić. Trzeba zachować ostrożność przy wyborze prezentu, pomyślał; w żadnym razie nie powinien zdradzać swojego pochodzenia. Musiał utrzymać w tajemnicy swój pobyt w Wenecji choćby dlatego, że nie zniosłby myśli o zwrocie pieniędzy za delegację.

Myśląc o tym, poczuł nagle gniew: ciągle ktoś czegoś od niego chciał, ciągle musiał komuś coś wyjaśniać, tak jakby należał do wszystkich, był powszechną własnością i każdy miał do niego prawo. Jego całe życie polegało na objaśnianiu, dlaczego coś robił tak, a nie inaczej, lub też ukrywaniu tego, czego objaśniać nie mógł albo nie chciał. Nikt nie ma pojęcia o tym, co czuł i jak było mu ciężko. Przyszło mu do głowy zdanie: „Był naprawdę znany, choć naprawdę nikt go nie znał”. Pomyślał, że nie jest ono najbardziej błyskotliwe, ale mimo to zapisał je na serwetce – kto wie, może do jego nekrologu mogłoby się nadać.

Spojrzał na samotną kobietę w średnim wieku, która siedziała w przeciwnym kącie kawiarni, jadła

ciasteczko bezowe i raz po raz rzucała mu spojrzenia znad talerzyka. Miała mocny makijaż: czarne kręgi zatoczone kredką wokół oczu i lśniąca karminowe usta. Właściwie nic a nic go nie obchodziła, miał w nosie to, że spogląda na niego, nie musiał się nią przejmować; to uczucie zaskoczyło go i sprawiło mu ulgę. Cóż to za radość być dla kogoś nikim, pomyślał.

Pochylił się nad kawą; kiedy zerknął znad filiżanki na kobietę, zobaczył, że otwiera jakąś książkę i zaczyna czytać. Cudowne są te momenty, gdy życie wraca do punktu wyjścia, myślał, kiedy biografia ulega wymazaniu i można na nowo ją pisać w dowolny sposób. Mógł się przedstawić tej kobiecie jako wschodnioeuropejski dysydent: tak, proszę pani, wiem, co to więzienie, ale wiem również, że żadne kraty nie są w stanie uwięzić serca, lub coś w tym stylu. Mógł być amerykańskim pianistą albo matematykiem w trakcie podróży do Niemiec, skąd – dajmy na to – pochodzili jego przodkowie. Mógł być szpiegiem, recenzentem kuli-

narnym, radzieckim aparaczczykiem albo fotografem zdjęć erotycznych szukającym dziewczyn do nowej produkcji. Ten ostatni pomysł zaskoczył jego samego – był tak nedorzeczny, że rozśmieszył go, co chyba zauważyli inni goście kawiarni.

Być nikim, a zatem móc być każdym; takie chwile zdarzały się niezwykle rzadko i pozwalały przeżywać magiczny stan nieopisanej lekkości. Niestety, wymagały odpowiednich okoliczności – musiał być gdzieś, gdzie nie był znany i gdzie przebywał tylko jakiś czas. Żeby zabawić się w taką maskaradę, należało być w podróży, należało być turystą. Czy jest na ziemi miejsce, pomyślał, znów uśmiechając się do siebie, które nadaje się do tego bardziej niż Wenecja?

Kobieta zamknęła książkę i poprosiła o rachunek. Spojrzała jeszcze raz na niego, a jej pąsowe usta wykrzywiły się w uśmiechu. Odwrócił wzrok; musiał przyznać, że zaczynała go denerwować obcesowość tej kobiety.

– Przepraszam – usłyszał nagle jej głos; stała teraz nad nim z tym samym uśmiechem. – Czy my się nie znamy?

Zrobił zdziwioną minę i rozłożył bezradnie ręce.

– Wydaje mi się, że poznaliśmy się na jakimś kongresie literackim – ciągnęła niezrażona. – Może w Paryżu dwa lata temu? A może w Pradze?

Pokręcił głową.

– Naprawdę pan nie pamięta? – dopytywała się, kiedy uporczywie zaprzeczał ruchem głowy. – Nazywam się Maria Cantone. Byłam z ramienia związku włoskich literatów, piszę wiersze.

Przypomniał sobie; rzeczywiście spotkali się kiedyś na jakiejś konferencji, uczestniczyli razem w panelu dyskusyjnym. Jednak nie miał ochoty na rozmowę z nią, zmarszczył więc czoło i znów pokręcił głową.

– Bardzo mi przykro, ale to nieporozumienie – powiedział. – Musiała mnie pani z kimś pomylić.

Uklonił się, zostawił pieniądze obok filiżanki i czym prędzej opuścił kawiarnię.

Szedł, gdzie oczy poniosą, oglądając wystawy sklepów, na których było zbyt dużo towarów, zbyt dużo kolorów i kształtów. Szukał wśród wystawionych rzeczy czegoś odpowiedniego dla towarzysza Kliszki.

Miał wrażenie, że towary są mu nieprzyjazne, że za chwilę go zasypią, że zniknie pod ich bezwzględnym naporem i niezliczoną wielością. W kraju wystawy były skromne i nierzucające się w oczy, jakby nie chciały zanadto absorbować uwagi przechodniów. Były też mniej kolorowe, wypłowiłe; w ogóle cały kraj był jakby wypłowiwały. Nie żyjemy za żelazną kurtyną, tylko za szarą firanką, podsumował w myślach.

Stając przed kolejnymi witrynami, wyłapywał co jakiś czas nieprzychylne spojrzenia. Na pewno wiedzą, że nie stać mnie na większość rzeczy wystawionych za szybą, pomyślał, ocierając pot z czoła. Jakiś mężczyzna w jego wieku, ubrany ze smakiem, stuknął obcasami i patrzył na niego z wyższością, zaciągając się papierosem. Kobieta o ciemnych oczach

i pergaminowej twarzy, zakrytej częściowo rondem kapelusza, kiwnęła na dwie przyjaciółki i rzuciła mu pogardliwe spojrzenie. Nawet kot, który zatrzymał się przed nim, patrzył na niego ze złośliwym uśmiechem.

Tak w każdym razie wydawało mu się w tamtej chwili. Postanowił wejść do sklepu i pokazać wszystkim, jak bardzo się mylą, oceniając go po pozorach.

– Czym mogę służyć? – zapytał sprzedawca.

Popatrzył na niego przez chwilę i nagle poczuł, że jest mu duszno i kręci mu się w głowie. Oparłszy się o ladę, pomyślał, że powinien stąd wyjść; nie wiedział, co chciałby kupić, a zresztą co to za pomysł, żeby wydawać ostatnie pieniądze tylko dlatego, że kot krzywo na niego spojrzał.

– Nie wiem – zaczął niewyraźnie, bezmyślnie przeszukując kieszenie marynarki. – Widzi pan, nie mam portfela...

Sprzedawca przyjrzał mu się badawczym wzrokiem.

– Może zatem zechce pan zerknąć na to – zaczął, pokazując niewielki kwadratowy portfel z lśniącej czarnej skóry. – Jest to rzecz w sam raz dla dżentelmena, piękna robota, cieleca skórka, podwójne przeszycia, wart każdego lira.

Przyglądał się przez chwilę portfelowi, potem spojrzał na sprzedawcę.

– Dobrze pan się czuje? – zapytał tamten, zaniepokojony.

– Tak, tak, wszystko w porządku – odrzekł, ocierając pot z czoła. – Ile płące?

Wychodząc ze sklepu, przełożył pieniądze do nowego portfela. Szedł wzdłuż jednego z mniejszych kanałów, zastanawiając się nad zakupem, którego właśnie dokonał. Miał zrobić prezent towarzyszowi Kliszce, a kupił sobie portfel, do którego nie ma co włożyć. Może podaruje go Kliszce, rozważał dalej, ładna rzecz, szykowna, a przy tym praktyczna, wyposażona w kilka przegródek i solidnie zrobiona, będzie służyć długie lata. Po chwili jednak porzucił ten pomysł – Kliszko zaczęłby jeszcze doszukiwać

się jakichś burżuazyjnych aluzji, może nawet uznałby, że chce mu wytknąć jego status materialny. To zbyt ryzykowne, doszedł ostatecznie do wniosku. Westchnął, skręcił w bramę otwartą na przestrzał, która – jak mu się zdawało – prowadziła na uliczkę biegnącą w kierunku Rialto.

Po południu spacerował promenadą nad kanałem, potem przeciął plac Świętego Marka, podziwiając po raz kolejny kolumnady, a następnie zanurzył się w labirynt uliczek. Na jednej z nich zauważył księgarnię i zatrzymał się przed wystawą. Przyglądał się okładkom i nagle jego serce podskoczyło. Na górnej półce, z boku, ale w dość eksponowanym miejscu, jak zauważył z satysfakcją, stała jego książka. Z zachwytem i dumą czytał włoski tytuł, bo wiedzieć o zagranicznym wydaniu swojej publikacji to jedno, ale zobaczyć ją na własne oczy na wystawie księgarni w Wenecji to zupełnie co innego. Książka stała obok zbioru opowiadań Hermana Melville'a i jakiejś współczesnej włoskiej powieści. Nie

najgorsze towarzystwo, pomyślał i wszedł do środka.

W księgarni kręciło się parę osób. Przez kilka minut rozglądał się wokół i stwierdził, że znalezienie jego książki nie jest łatwe. Schowano ją w głębi, na górnej półce w dziale z przewodnikami turystycznymi. A jednak po krótkiej chwili ktoś zjawił się przy regale. Zaskoczony, rozpoznał w nim jednego z trzech młodych ludzi, którzy poprzedniego dnia narobili tyle zamieszania w hotelu. Był to najmłodszy i najładniejszy z nich, wyglądający jak z obrazu Tiepola. Chłopiec, trzymając już w ręku jakiś solidny tom, zdjął z półki także jego książkę. Chyba przeglądał ją, choć Pisarz nie był tego pewien, ponieważ stał za jego plecami. Może odwróci głowę, pomyślał, mógłbym pokazać mu, że jestem autorem książki, którą trzyma w rękach. Poczował, że serce bije mu szybko, coraz szybciej. Po chwili jednak jego radość musiała ustąpić rozczarowaniu. Chłopak odłożył egzemplarz na miejsce, rozejrzał się i wyszedł z księgarni. Pisarz poczuł gorzki zawód, zaraz

jednak doszedł do wniosku, że nie ma się czemu dziwić: właściwie dlaczego kogoś takiego jak ten obdartus miałyby zaciekawić jego skomplikowane wywody o tradycji europejskiej i spojrzenie na współczesną kulturę. Zdjął książkę z półki, podszedł do kasy i wręczył sprzedawcy.

– Dużo ludzi to kupuje? – zapytał od niechcienia.

– Jest pan pierwszy.

– To jest proza eseistyczna – zwrócił uwagę – a leży u was w dziale z przewodnikami.

Sprzedawca spojrział na niego, a potem na książkę.

– Przekażę właścicielowi. Bierze pan?

– Tak – odpowiedział Pisarz. – To bardzo interesujący autor, powinien go pan polecać kupującym.

Wziął tom pod pachę i wyszedł na zatłoczoną ulicę. Przeciskając się między przechodniami, uświadomił sobie nagle, że chłopak odłożył na półkę tylko jedną książkę, drugą najwyraźniej przemycił do wyjścia. A więc to mały złodziejaszek, pomyślał, uśmiechając się do siebie.

Redakcja: Jan Koźbiel
Korekta: Edyta Domańska, Artur Kaniewski

Projekt okładki: Jacek Szewczyk
Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki: © Corbis/FotoChannels

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
Tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN: 978-83-280-0874-8

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Aleksandra Łapińska / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO

Digital platform of tomorrow

